

Czytaliśmy - polecamy

OKRUTNA PRZESTROGA



Są obecnie „historycy”, którzy poddają nadal w wątpliwość podstawowe fakty związane z rzezią wołyńską. Twierdzą oni - nie ma żadnych wiarygodnych materiałów, wszystko oparte jest na fantazjach Polaków! Prezentowana książka zawiera kilkaset takich „fantazji”. Zaiste Polaków na Wołyniu musiałoby opanować jakieś zbiorowe szaleństwo, by jak jeden mąż zaczęli opowiadać zmyślenia o koszarze roku 1943. Te relacje są jednym wielkim

oskarżeniem, pokazują do czego doprowadzić może szowinistyczny obłąd. Autorzy tego opracowania dokonali pracy benedyktyńskiej - relacje uzupełnione są wykazami pomordowanych przez UPA mieszkańców poszczególnych wsi. Na mapach województwa wołyńskiego zaznaczono każdy przypadek (udokumentowany) mordu na ludności polskiej. Zaprezentowano bogaty, nieznan do tej pory zbiór fotografii (m.in. wstrząsające obrazy pomordowanych z rejonu Hrubieszowa i Bełżca). Powstanie tego dokumentalnego dzieła zawdzięczamy wspólnym wysiłkom Stowarzyszenia Upamiętniania Polaków Pomordowanych na Wołyniu z siedzibą w Zamościu i Towarzystwu Przyjaciół Krzemieńca i Ziemi Wołyńsko-Podolskiej w Lublinie.

Autor wstępu Leon Karłowicz - pisze: *Wśród różnych refleksji, jakie budzi lektura niniejszej książki, jedna przewija się szczególnie mocno: jak naród pragnęli mieć w przyszłej wolnej Ukrainie zwolennicy Bandery i wykonawcy jego poleceń? Naród zbrodniarzy. Bo przecież każdy młody mężczyzna, który odmawiał zabijania Polaków, ginął. Choćby był najlepszym człowiekiem. Jeśli miało się chęć zyskać uznanie w oczach przywódców, należało mordować. Miarą zasług i bohaterstwa była liczba uśmierconych „Lachów” (...)*

Okrutna przestroga (opracowanie Jerzy Dębski, Leon Popek), Lublin 1997, ss 428

„Myśl polska” o Kresach Nr 3(48) marzec 1998

Adolf Kotodziej

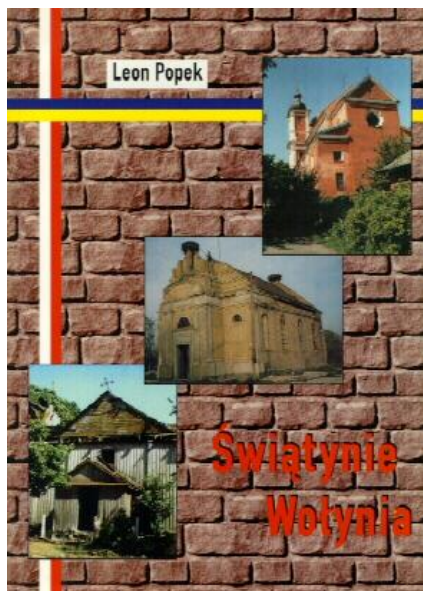
ŚWIĄTYNIE WOŁYNIA

Książkę o tym tytule zadedykował autor Leon Popek „Duchowieństwu, architektom, fundatorom, budowniczym i wiernym, którzy przyczynili się do powstania oraz

restauracji kościołów i kaplic na terenie diecezji łuckiej”.

Ten niezwykle cenny prezent otrzymałem od dawnego kolegi szkolnego Edmunda

Bosakowskiego z osady wojskowej Weteranówka w gminie Białozórka, gdzie w ubiegłych stuleciach istniały trzy kościoły rzymsko-katolickie i wszystkie one zburzone z powodów zacietrzewienia politycznego i nienawiści do Polaków oraz wiary łaćnińskiej.



Piszę o tym wydaniu licząc, że może jakiś historyk podejmie wysiłek podsumowania naszych osiągnięć na terenach należących do I i II Rzeczypospolitej Polskiej; być może dana mu będzie możliwość publikacji twórczych poczynań kolejnych władcyków-biskupów nie tylko z dawnych czasów świętości tych ziem, ale bliższym nam współcześnie, m.in. bp. Ignacego Dub-Dubowskiego i bp. Adolfa Szelążka, którzy sprawowali tam rządy w latach 1918-1939. Nie sposób omówić dogłębnie trudności jakie musieli przezwyciężać ze strony swoich i obcych, dążąc do wzmożenia siły Polski i Kościoła łaćnińskiego.

Niełatwo dokonać wielkiej syntezy ich dorobku w ramach krótkiej tylko wypowiedzi, gdy tematyka książki „Świątynie Wołynia” jest przeogromna i wymaga wielkiej

dyscypliny, aby nie ulec emocjom i zatrzymać się na kwestiach szczególnie sobie bliskich.

Całość treści zawarto na 370 stronicach, z czego teksty zajmują 255 stronic, zaś na 115 stronach rozmieszczono zdjęcia. To dzieło, o charakterze naukowym, autor podzielił na trzy rozdziały. W pierwszym podał tło historyczne diecezji łaćkiej, jej granice i terytorium z dwiema mapami, podział na dekanaty i parafie, wraz z podkreśleniem roli specjalnych obiektów kultu religijnego, do których pielgrzymowali wierni. W drugim rozdziale – posługując się wykresami – scharakteryzował ludność tych ziem, jej strukturę wyznaniową i omówił kwestię rewindykacji świątyn i ich mienie zarówno połacińskie, jak również poniczkie, podkreślając negatywny wpływ na bieg tych spraw metropolity Andrzeja Szeptyckiego, jak i wojewody Henryka Józefskiego, odpowiedzialnego za „ukrainizację Cerkwi prawosławnej...” (str. 42). Zabiegi Komisji Papieskiej w składzie biskupów: H.Przeździeckiego, S.Lukomskiego i A.Szelążka – przy jednoczesnym zastąpieniu wojewody Józefskiego przez gen. Hauke-Nowaka w 1938 r. – powodują, że akcja rewindykacyjna została podjęta na nowo, zaś 20 czerwca 1938 r. został podpisany układ ze Stolicą Apostolską.

W rozdziale III Leon Popek umieszcza wykaz 115 kościołów w 16 dekanatach diecezji łaćkiej zabranych i zamienionych na cerkwie prawosławne przez władze carskie w XIX wieku. W tej galerii zabytków sakralnych znajdują się cacka architektoniczne z późnego gotyku, świątynie renesansowe i epoki barokowej, które można by z powodzeniem ułokować w dalekiej Florencji! Tam zaś na Ziemi Wołyńskiej, pod obcą władzą, skazano je na zagładę. Niszczącej, zjada je żąb czasu. Obok tych „perełek” znajdują się również bardzo proste kościoły i podobnie jak stare domostwa XVIII wieku, uległy dewastacji w tragicz-

nym 1943 roku i w późniejszych latach rządów ukraińskich. Współcześnie, dochodzących wiadomości nie można czytać bez wzruszenia i gniewu. Dzieje parafian z Ożenina, na czele z o. Banasiem OFM, którzy nie tylko zdołali się sami obronić, ale poszli z odsieczą swoim braciom w Ostrogu (str. 165), domagają się epickiego pióra Henryka Sienkiewicza.

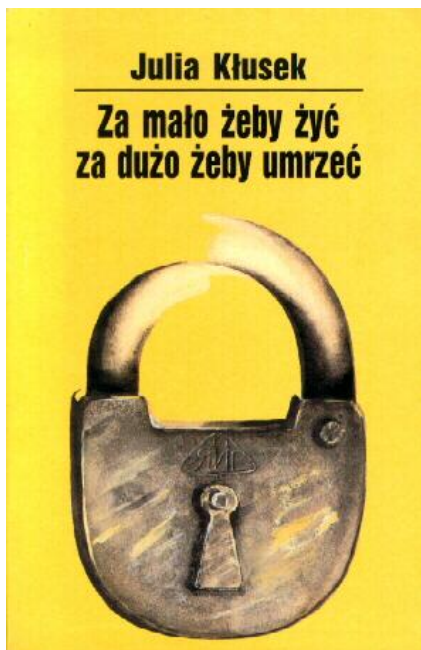
W kolejnych aneksach są wykazy kościołów i kaplic rzymsko-katolickich oraz unickich diec. Łuckiej, zburzonych przez prawosławnych, w miejsce których wzniesiono cerkwie prawosławne a także projekty

erygowania nowych parafii; budowa nowych kościołów i kaplic w poszczególnych dekanatach; wykazy nowych świątyń w różnych powiatach, spisy księży w dekanatach, ewidencja majątku kościelnego w diec. Łuckiej w latach 1938-39 – rządzona przez władze urzędu woj. Wołyń. Całość tego bogatego wydania zamyka spis ilustracji i dokumentów.

Zamówienia obu wyżej recenzowanych książek prosimy kierować na adres: Leon Popek, ul. Szmaragdowa 36/83, 20-570 Lublin.

Roman Stanisław Zieliński

Przedmowa do książki



Książka ta jest dziełem niezwykłym. Ukazana w niej historia życia Autorki (obejmująca okres od początku naszego wieku aż po lata siedemdziesiąte), miejscami wstrząsająca, wydaje się przeniesieniem losu biblijnego Hioba w wiek XX. Trudno o

inne skojarzenie po zapoznaniu się z pasmem nieszczęść, jakie dotknęły panią Julię i jej rodzinę. Jest to książka nie tylko o cierpieniu, ale o ludzkiej godności i wierze, których nie zdołała pokonać totalitarna przemoc.

Opowieść spisana w porządku chronologicznym, podzielona została na trzy części. Koniec każdej z nich stanowi zarazem koniec pewnego etapu w biografii pani Julii, pełni rolę znaczącej cezury.

W pierwszej odtworzony został obraz trudnego, pełnego znoju i niebezpieczeństw życia osadniczego na Wołyniu, w początkach niepodległego państwa. W lapidarnie skonstruowanych zdaniach zawarta została prawda o tych czasach i warunkach, w jakich przyszło dorabiać się od podstaw własnego majątku, o atmosferze lat wyrzeczonych i niepewności okupionych ciężkimi doświadczeniami. Chwilę, kiedy wymarzone cele udaje się osiągnąć, przerywa pierwszy dramat - wybuch wojny, a następnie życie w sowieckiej strefie okupacyjnej. W wyniku tego rodzina Kłusków traci wszystko, co dotychczas osiągnęła. Jak się później okazało, miało to być dopiero preludium dalszych tragedii. Wojenny kataklizm zmusza rodzinę do rozłąki. Niedługo potem pani

Julia wraz z trojgiem, dzieci zostaje deportowana w głąb Rosji Radzieckiej. Druga część, najbardziej przejmująca w swej wymowie, to „sprawozdanie” z koszmaru trzech lat pobytu w obozie, a następnie tułaczki aż do momentu wyjścia z „nieładzkiej ziemi”.

Część trzecia przynosi opis powrotu do kraju, odnalezienia najbliższych i rozpoczynania życia od nowa na ziemiach zachodnich. Ale bezpośrednio zetknięcie się z terrorem czasów stalinowskich i absurdem rządów totalitarnych przynosi rodzinie pani Julii ponowne zniszczenie tego, co wspólnie wypracowali.

Ostatni etap to choroba. Organizm wyniszczony dotychczasowymi przeżyciami nie mógł dłużej się bronić. Pani Julia może się poruszać już tylko za pomocą wózka inwalidzkiego. I było to chyba dla niej - osoby tak energicznej - najboleśniejże doświadczenie.

Wtedy też, kiedy zmuszona była wraz z również ciężko chorym mężem do stałego przebywania w małym pokoiku, w jednym ze standardowych bloków na wrocławskim osiedlu w mieszkaniu swojej córki Zofii (wraz z matką przeżyła pobyt w Rosji Radzieckiej), począł się rodzić pomysł spisania swych losów. Przyspieszyła ów projekt obawa, że fakty podawane dotychczas wyłącznie w ustnym przekazie ulegną zatarciu. Że słowa przepadną, zgubią swój sens, a pamięć skurczy się. Cała historia musiała zaistnieć w innej formie. I tak zaczęło się owo latami trwające pisanie. Nie było ono łatwe. Trzeba było wciąż wracać do napisanych już fragmentów, uzupełniać zapomniane wcześniej ten czy inny szczegół. Przychodziły też chwile zwątpień i załamań. Często osoby, które przeżyły tragedię, nie chcą o niej mówić, nie chcą do niej wracać myślami, pragną zapomnieć. Odtwarzanie przeszłości przynosi ponownie ból. W takich momentach pomoc najbliższych, ich przekonanie o ważności tego zapisu pozwa-

łało pani Julii powrócić do przerwane go toku opowiadania.

Pisała do ostatnich chwil swojego życia. Końcowe fragmenty, notowane prawie że na bieżąco, przybierały już formę intymnego dziennika. Spieszyła się, czując, że siły ją opuszczają (stąd w tych partiach tekstu narracja w opowieści nie jest już tak konsekwentnie prowadzona). Pani Julia umarła w grudniu 1979 roku. W dwa tygodnie później zmarł jej ukochany mąż.

Wspomnienia owe są przede wszystkim wstrząsającym dokumentem czasów. Wrażenie, jakie wywiera ów tekst, opiera się na prostocie i bezpośredniości relacji - bez omawiania, tłumaczenia, zbędnego komentarza. Rozdział dotyczący pobytu w Rosji Radzieckiej przedstawiony z pozycji kobiety-matki w sile swego wyrazu można zestawzić w jednym rzędzie z *Innym światem* Herlinga-Grudzińskiego czy *Na nieludzkiej ziemi* Czapskiego. W trakcie notowania swych przeżyć pani Julia nie zakładała, że będą opublikowane. Nie pisała z myślą o druku, lecz pragnęła, by zostały one trwałą pamiątką rodzinną, przekazywaną z pokolenia na pokolenie. I w tym sensie spełniły już swą rolę. W gronie osób pani Julii najbliższych przechowywane są one wraz z wieloma innymi, cennymi pamiątkami, będącymi jedynym w swoim rodzaju materiałem dowodowym, na prawach relikwii (rodzinie też zawdzięczamy ich udostępnienie). Po drugie - co w ogóle oddalało taką myśl - to fakt, że nie było, ze względu na panującą w tamtym okresie sytuację polityczną, żadnych szans, by wspomnienia te mogły ukazać się oficjalnie. Ba, samo ich istnienie w takiej formie (możliwość zapoznania się z nimi wielu zainteresowanych osób) związane było z prawdopodobieństwem ściągnięcia na siebie kolejnego nieszczęścia.

„Za mało żeby żyć, za dużo żeby umrzeć” - to tytułowe zdanie, komentujące w tekście ekstremalną sytuację, kiedy ułamek chleba przedłużał choć na parę chwil

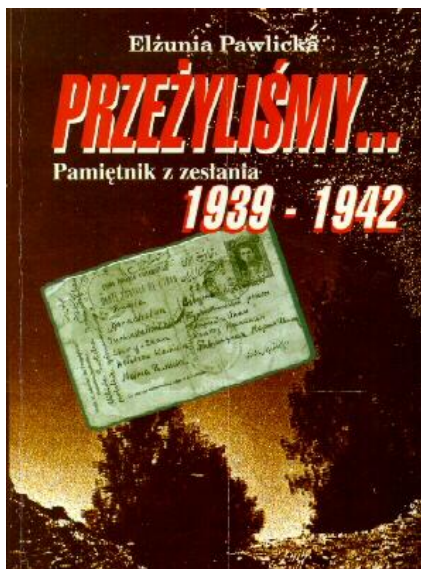
nadzieję przetrwania, można odnieść szerzej do wielu chwil w życiu Autorki.

Wspomnieć trzeba jeszcze o rzeczy, która stanowi szczególną wartość tej książki. Na jej kartach rozgrywa się również przejmujący dramat metafizyczny. Pani Julia, jako osoba głębokiej wiary, w swym życiu pełnym dramatycznych wydarzeń, decyzji i wyborów, niejednokrotnie przeżywała sprawdzian swej niezłomności, poddawana próbom, często wydawałoby się przekraczającym siły człowieka. Dzięki swej wierze przetrwała. Nawet w najboleśniejszych momentach, kiedy wielu zwątpiło. Sama wiele doświadczając, nie zapominała o niesieniu pomocy innym. Zawsze

ufająca w potęgę modlitwy, w sprawiedliwość wyroków Bożych i ostatecznych rozstrzygnięć, w opiekę Najwyższego. Zawierając nieustannie Jemu swój los, z pokorą równą pokorze biblijnego Hioba przyjmowała każde spadające na nią i jej rodzinę nieszczęście, przekonana o celowości tych doświadczeń. W tym kontekście, kończące książkę zdanie, jedyne pełne patosu, o życiu przeżytym godnie, jest w swym tonie jak najbardziej usprawiedliwione.

Fragmety książki dotyczące okresu osadniczego ukażą się w jednym z numerów naszego biuletynu, w przyszłym roku.

Teresa Borowiec



Rzeszowski Oddział Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” przygotował do druku książkę „PRZEŻYLIŚMY... Pamiętnik z zesłania 1939 – 1942” Elżbiety Pawlickiej-Frankowskiej mieszkającej w Toledo, w USA.

Są to wspomnienia piętnastoletniej dziewczynki spisane „na gorąco” w 1942

roku, w Isfahanie, zawierające jej przeżycia od 1 września 1939 r. do sierpnia 1942 r.

Autorka jest córką Mariana Pawlickiego, osadnika wojskowego z osady Weteranówka, gm Białozórka, pow. Krzemieniec, który 17 września 1939 r. o godzinie czwartej rano pełnił służbę na granicy polsko-sowieckiej jako członek straży obywatelskiej. Gdy zatrzymał nadjeżdżający sowiecki patrol konny – został przezeń zastrzelony.

Osierocił ośmioro dzieci, z których najstarsza Elżbieta (autorka) miała 12 lat, a najmłodszy Marian urodził się w październiku 1939 r. po śmierci ojca.

Wraz z matką zostali wywiezieni 10 lutego 1940 r. na Sybir gdzie zmarło troje rodzeństwa.

Na następnej stronie drukujemy fragment z książki zawierający opis pierwszych świąt Bożego Narodzenia poza ojczyzną.

Elżbieta Pawlicka-Frankowska

„Przeżyliśmy...Pamiętnik z zesłania 1939-1942”. Wydawca: Wspólnota Polska o/Rzeszów, 1998 r., str. 120, cena 10 zł.

Do nabycia w Rzeszowskim Oddziale Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, 35-064 Rzeszów, Rynek 19. Tel (017)62-14-51

Zima wzmagała się. Przez kilka dni było już 58° mrozu. Powietrze było tak gęste, że nie można było na dworze oddychać. W oknach szyby pękały, a w mieszkaniu zamarzała woda. W dniu cieplejsze ja z Józiem chodziliśmy do lasu, spuszczailiśmy suchą brzozę lub świerk które porżnięte i porąbane zwoziliśmy saneczkami do domu lub nosiliśmy na plecach. Nogi uginały się pod ich ciężarem. Ręce i nogi kostniały z zimna. Pomimo trudu mieliśmy to zadowolenie, że mamusia wróci z pracy do ciepłego mieszkania i młodsze rodzeństwo nie będzie szczękało ząbkami z zimna. Łapaliśmy w sidła ptaszki i wrony, które ugotowane były wielkim przysmakiem. I tak upływały dni. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Ile radości przynosiły one dzieciom w Polsce! Teraz nikt z nas się tym nie cieszył, bo przecież wiedzieliśmy, że będą one pełne smutku i łez. Przyszedł dzień wigilijny. Nazwoziliśmy drzewa na cały tydzień, po czym przy pomocy rodzeństwa zabrałam się do sprzątania. Pobieliłam płytę, podłogę porządnie wymyłam chlorkiem i ściany przybrałam gałązkami świerków. Czubek z dużego świerka, na którym było bardzo dużo szyszek, postawiłyśmy w kącie mieszkania i przybrałyśmy papierem oraz watą. Miało nam to drzewko przypominać cudną choinkę w Polsce. Po skończonej pracy usiadłam na chwilę przy oknie, aby odpocząć. Na duszy było mi ciężko - ogarnął mnie żal i tęsknota. W domu panuje cisza, której nikt nie mąci. Mamusia nie krząta się przy przyrządzaniu wierzery jak niegdyś i nawet z pracy jeszcze nie wróciła. Jesteśmy tak daleko od Ojczyzny i nie mamy nikogo z bliskich osób. Nie ma i Tatusia. Tyle przeżyliśmy już nieszczęść i nie wiemy, co nas jeszcze czeka. Łudzimy się tylko nadzieją. Młodsze rodzeństwo półgłosem prowadzi dyskusję, czy też aniołek przyjdzie z prezentami - „Z Polski tutaj jest tak daleko i aniołek nie trafi” - powiedział

Rysio i łezki zakrążyły mu w oczkach. Biedactwo... ja również nie mogłam się powstrzymać od łez i odwróciwszy twarz bardziej ku oknu tłumiłam w sobie ból.

Na niebie ukazała się pierwsza gwiazda. Z nią budzą się różne wspomnienia z ubiegłych lat. Nie zauważyłam nawet jak do mieszkania weszła mamusia. Zdjęła palto i zmęczona całodzienną pracą usiadła przy piecu. W mieszkaniu było ciepło jak nigdy przedtem. Choć tym chciałam uprzyjemnić ten święty wieczór. Rodzeństwo natychmiast otoczyło mamusię i poczęło zasypywać ją licznymi pytaniami. Gotując kolację widziałam, jak wstrzymując łzy starała się odpowiedzieć na każde z nich. Przyszykowała kolację, białym prześcieradłem przykryłam stół, ażeby choć bielą przypominał ten stół wigilijny pod rodzinną strzechą. Miski z posiłkiem postawiłam na stole i wraz z mamusią zasiedliśmy wszyscy do stołu. Odmówiliśmy wspólnie modlitwę, poczem zaczęliśmy się łamać opłatkiem. Nikt z nas nie mógł przemówić słowa. Coś w gardle dławiło. W oczach wszystkich błyszczały łzy i jak rześisty deszcz spływały po białych policzkach. Bo i któż oprócz Ciebie Boże rozumie niedolę naszą i ból naszych serc... Nie ma wśród nas Tatusia i już nigdy nie będzie on z nami zasiadał do stołu. Życie swe oddał w ofierze Ojczyźnie, na straży jej granic. Nie słychać szczebiotu najmłodszych dwóch braciszków. Zmarli, nie wytrzymali ciężkich chwil niedoli. Chwilę trwało milczenie, po czym spragnieni posiłku zasiedliśmy do wierzery, którą zjedliśmy bardzo szybko. Oprócz rzadkiej owsianej zupy nie było nic więcej. Chleb którego był tylko mały kawałek, trzeba było zostawić na jutro do pracy, gdyż zarobek mamusi i mój był tak mały, że nie wystarczał, ażeby wykupić codzienną porcję chleba. Starając się oddalić smutek i żal pocieszailiśmy się słowami z listu który pełny dobrej nadziei otrzymałam przed paru

dniami od Danusi Siniarskiej. Od niej też otrzymaliśmy opłatek. Płomień nadziei nigdy nie wygaszał w duszy mojej i choćby iskierką tlił się w niej wciąż. Pocieszałam mamusię słowami, na jakie tylko mogłam się zdobyć. Zdławionym głosem odśpiewaliśmy kilka kolęd. Płynęły one głosem błagalnym do tronu Wszechmocnego i do żłóbka Bożej Dzieciny. Następnie udaliśmy się na spoczynek. Długo nie mogłam zasnąć. Teraz nikt oprócz Jezuska i Jego Mateńki mnie nie widział, więc mogłam gorzyc swej duszy wylać. Łzy gorące spływały mi bez ustanku z ocz. Poczułam, że poduszka była mokra. W duchu prosiłam Pana Boga, aby dał nam siłę do przetrwania tych ciężkich chwil niedoli i dozwolił wrócić do kraju. Tak modląc się nie wiem jak długo, usnęłam.



Kolchoz „Kalinin” w Starym Ikanie, czerwiec 1942 r.

W dzień Bożego Narodzenia jeszcze było zupełnie ciemno, a już po domach chodził komendant z zastępcą i wypędzał ludzi do roboty w lesie. Próbowaliśmy protestować, lecz widząc, że nic nie pomaga

wzięliśmy siekiery i piły, poszliśmy niby na robotę. Przez całą drogę wszyscy szli w zadumie i tylko od czasu do czasu dał się słyszeć ochrypli głos starszego mężczyzny, który co chwilę upewniał się, czy nie błądzimy, bo jeszcze było w lesie ciemno. Przyszliśmy na miejsce, gdzie mieliśmy pracować. Rozpaliliśmy ognisko i usiedliśmy wokół niego. Jak pastuszkowie dążący do Jezuska, tak my, zmarznięci, rozgrzewaliśmy się przy ognisku, z dala od Ojczyzny i kościoła; pomimo wszystko całą duszą byliśmy w niej. Pomodliliśmy się wspólnie, po czym śpiewaliśmy kolędy, dorzucając co chwilę drzewa do ogniska. Rozmawialiśmy na różne tematy, lecz wszystkie łączyły się ze świętami Bożego Narodzenia w Polsce. Ażeby słycać było, że pracujemy, parę osób na zmianę uderzało siekierami o kło-

dę, a stuk powtarzał się echem. Jak postanowiliśmy tak uczyniliśmy. W tym dniu, dla nas Polaków - katolików tak świętym, nie pracowaliśmy zupełnie. Te smutne święta pozostały w mojej pamięci na zawsze....